Rok 1901. Lwów, 4. Sierpnia Nr. 30.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" Lwów, Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 4. Sierpnia Nr. 30.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ ½
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najodpowiedniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" Lwów, Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po **12** halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem.

Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 4. sierpnia. Nr 30.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 30:

Krucyata hakaty przeciw Polakom.

Nienawiść hakaty do wszystkiego co polskie wzmaga się niekiedy do jakiegoś wściekłego szału, rozsadzającego słabe mózgi tak, iż trzebaby hakatystom dawniej praktykowaną metodą w domach obłąkanych nakładać kaftany, poskramiające niebezpiecznych szaleńców, bo zdaje się, że wyczerpawszy wszystkie antypolskie środki, na jakie zdobyć mogły się ich głowy, poczną kąsać Polaków, kamienować ich i bryzgać na nich błotem. Pomiędzy tymi najwścieklejszymi odznacza się *„Bromberger Tageblatt“*, dla którego nie ma nigdy dość brutalnego środka walki przeciw Polakom. Dziennik ten jest zdumiewającym a jaskrawym dowodem, do jakiego upadku moralnego, do jakiego zaniku wszystkich uczuć humanitarnych i zdziczenia pojęć stoczyły się w swem duchowem życiu t. z. inteligentne warstwy niemieckiego ogółu. I upodlenie to jest tak wielkiem, że pierwszy lepszy pismak występuje z pierwszem lepszem bezeceństwem, jakie mu przez głowę przejdzie, a byle tylko wypowiedział je pod hasłem: *ausrotten*, ogłupiane przez etycznie zmarniałą i kłamliwą prasę masy będą mu biły oklaski. Heca antypolska jest łatwem źródłem zarobkowania dla drugo i trzeciorzędnych dziennikarzy, w których głowach nie narodziła się nigdy zdrowa myśl społeczna i w których piersi nie zadrgał nigdy płomyk szlachetnego uczucia. Nawet stanąwszy na czysto ludzkiem stanowisku, wybryki *„Bromberger Tageblattu“* przejmują czytelnika odrazą niemal fizyczną.

Teraz z kolei rzucił się on na Polaków w Nadrenii i nawołuje do ekstyrpacyjnej krucyaty. Zamiast okazać wdzięczność za to, że tysiące Polaków, rzuciwszy ojczyste strony, poszło pracować nad Ren i zastąpić Niemcom brak robotnika, *„Bromberger Tageblatt“* biada i załamuje ręce nad tem, że tylu Polaków żyje na pragermańskiej ziemi, oddycha tem zbawiennem powietrzem, pracuje w wielu gałęziach i — coby to znaczyć mogło — wyzyskuje je dla swych celów narodowych. Szczególniej płacze ten organ nad istnieniem polskich kolonii roboczych, podnosząc, że w niektórych okręgach nadreńsko-westfalskiego terenu węglanego, 57 do 58 Polaków przypada na stu mieszkańców. Według broszury *„Ruhr und Lippe“*, wydanej przez staroniemiecki Związek w Monachium, liczba Polaków, zarobkujących w zakładach górniczych nadreńsko-westfalskich, wynosi 242.800 głów, a gdy doliczy się w innych gałęziach przemysłu zatrudnionych Polaków, okaże się co najmniej 244.940 Polaków

Zaznaczywszy to, poczyna *„Br. Tgbl.“* swym zwyczajem straszyć Prusaków, opowiadając im, że Polacy tamtejsi związani są w rozliczne towarzystwa, zorganizowani politycznie, że posiadają kasy chorych, czytelnie, komitety agitacyjne itd., że są w ciągłych stosunkach z rodakami na wschodzie, a narodowi agitatorzy oraz duchowieństwo rzymsko-katolickie stara się odłączyć Polaków od Niemców, zapobiedz ich zniemczeniu się.

Ale przezacny Związek staroniemiecki daje w zmiankowanej broszurze receptę na wytępienie Polaków, którą naturalnie *„Br. Tgl.“* gorąco poleca. Z jedenastu przepisów wyjmuje ten blatt najważniejsze.

Przedewszystkiem należy dbać o to, aby przyjaźnie usposobieni dla Niemców (?) Mazurzy i Szlązacy doznawali zachęty do wstępowania do stowarzyszeń niemieckich, a więc gimnastycznych i wojskowych oraz jaknajlepszego w nich przyjęcia. Może niedługo zaproponują hakatyści, aby izba uchwaliła sto milionów na wynagrodzenia dla Polaków wstępujących do kriegervereinów?

Dalej należy podniecać istniejącą (?) skłonność do zmieniania polskich nazwisk na niemieckie i robić to darmo, tłomacząc n. p. Piekarz na Baecker, Kowalski na Kowaler, Lwowski na Lemberger, i t. d. Hakatyści są tak płytko myślącymi ludźmi, że sądzą, iż dość zniemczyć nazwisko, a już zdobycz dla niemczyzny.

Immigracya do Nadrenii ma być dozwoloną tylko poddanym niemieckim, co nie przeszkadza pewno, że gdyby Polacy z Prusiech nie chcieli pracować w kopalniach westfalskich, Prusacy poczęli by zwoływać zakordonowych Polaków, aby ratowali przemysł ich od ruiny.

Polskie gazety muszą być pod jaknajściślejszym nadzorem i (słuchajcie!) obok polskiego tekstu winno być niemieckie tłomaczenie tegoż. Zapewne dla tego, aby Polacy lepiej zrozumieli... To podobałoby się hakatystom; zrobić z prasy polskiej narzędzie do nauki języka niemieckiego, byłoby wprost komicznem!

Na wszystkich zebraniach przemawiać wolno tylko w języku „krajowym“. W danym razie trzeba ukuć odpowiedni przepis. Znowu jeden przepis więcej! Hakatystom nie dość jeszcze nawet przepisów.

Robotników nie władających dość dobrze po polsku nie wolno zatrudniać przy niebezpiecznej robocie a wcale nie mówiących po niemiecku nie wolno wogóle przyjmować. Tem lepiej; niechaj Niemcy dla Niemców wystawiają swe zdrowie i życie na niebezpieczeństwo w kopalniach.

Pod żadnym warunkiem nie powinno być wolno udzielać polskiego języka w szkole ani przy nauce religii, ani nie dopuszczać polskich duszpasterzy! Należy ich wydalać i wogóle z czasem pozbyć się z Nadrenii! Naturalnie!

Tę litanię kończy *„Br. Tagbl.“* pobożnem westchnieniem, aby udało się „z żelazną energią“ wcielić obcy żywioł do narodu niemieckiego. Naiwny w swym szale Tageblatt nie przekonał się jeszcze, że tych pobożnych (?) westchnień niebo nie wysłucha!

„Wekslarze“ a nauka.

Któż nie słyszał o Johnie Rockefellerze, słynnym organizatorze trustów, rzezimieszku i spekulancie, który, zrujnowawszy dziesiątki tysięcy ludzi, przekupiwszy koleje i zmonopolizowawszy cały szereg rynków, dorobił się w krótkim czasie za pomocą swych dziesięciu palców pół miliarda dolarów. Oczywiście przed człowiekiem tym nietylko wszyscy zdej-

mowali czapki, ale płaszczyła się cała Ameryka. Widocznie jednak ten powszechny szacunek nie zaspokajał ambicyj Rockefellera, skoro postanowił inną drogą zyskać popularność. Ażeby ludzie zapomnieli o tem, jakimi środkami stworzył swój majątek, ażeby nietylko pozornie, ale z całego serca żywili dla niego sympatyę, Rockefeller obdarzył uniwersytet chicagoski sumą 40 (czterdziestu) milionów dolarów, spłaconą ratami. Widząc, jaką drogą nawet oszust i złodziej może kupić wdzięczność i szacunek swych współobywateli, inni milionerzy i miliarderzy poszli za przykładem swego bożyszcza, Rockefellera. W ten sposób w jednym roku 1899 napłynęło do kas uniwersyteckich Ameryki tytułem szlachetnej i bezinteresownej darowizny, 130 milionów dolarów. Między innymi milionerka, pani Stanford, chcąc uwiecznić pamięć swego nieodżałowanego syna, założyła cały uniwersytet, przezwany jego imieniem „Leland Stanford Junior Univerity“. Lecz tu zaszła rzecz niesłychanie dziwna. Jakiś bakałarz ekonomii politycznej tej wszechnicy napiętnował w ostrych wyrazach barbarzyńskie wyzyskiwanie chińskich kulisów oraz polecił upaństwowienie kolei. Pani Stanford, szlachetna filantropka i założycielka uniwersytetu, oburzona tem, że człowiek, który „je jej chleb“, ośmiela się krytykować metodę, stosowaną na jej własnych plantacyach, zwróciła się w tej sprawie do fakultetu. Ten zawezwał śmiałka przed swój sąd, lecz po pięciominutowej rozmowie z nim przekonał się, iż ma do czynienia z nieukiem, wskutek czego dał mu natychmiastową dymisyę.

Niestety, złe przykłady, ják mawiali Rzymianie, psują dobre obyczaje. Zamiast pamiętać o tem, że język ludzki, jak utrzymywał Taillerand, służy po to, ażeby pewnych rzeczy nie mówić, pewlen ekonomista uniwersytetu chicagoskiego przejął się przytoczonym złym przykładem kolegi i oświadczył przed słuchaczami swymi, iż uważa trusty i kartele za bandy zbójeckie, zorganizowane dla wrzekomo legalnego rabowania spożywców. John Rockefeller, dowiedziawszy się o bezczelności swego płatnego lokaja w todze profesorskiej, zażądał natychmiastowego wypowiedzenia służby impertynentowi. Wszechnica, wdzięczna swemu opiekunowi, iż nietylko podarował jej 40 milionów, ale nadto z prawdziwie ojcowską pieczołowitością śledzi jej sprawowanie, odprawiła z kwitkiem niezwłocznie swe *enfant terrible*. Na tem sprawa by się zakończyła ku powszechnemu zadowoleniu, gdyby nie *cherche la femme*.

Znalazła się mianowicie niejaka panna Senddar, profesorka literatury, która w „Atlantic Monthly“ postanowił na ostrzu noża pytanie, ażali należy wogóle przyjmować na cele dobroczynne i społeczne pieniądze od ludzi o „splamionem bogactwie“ Jedną ręką — woła autorka — rujnowali konkurentów i wyzyskiwali publiczność, oraz okradali skarb, a drugą rzucaja ze swych narabowanych bogactw okruchy społeczeństwu, żądając w zamian wdzięczności, szacunku i rozgrzeszenia ze swych zbójecko szarlatańskich czynów. Czyż nie widzicie — woła owa panna Sendder — że lud się budzi, a czyż można mieć zaufanie do ognisk nauki, których magnaci pieniężni zatykają usta złotym kneblem, gdy chcą one wystąpić w obronie ludu. W kołach patronek filantropii powstał popłoch nie do opisania. Czyż takim beztaktem nie zraża się szlachetnych ofiarodawców, którzy utrzymują tysiące wdów i sierót, oraz dopomagają uczącej się młodzieży? Czyż widząc, jaką niewdzięcznością odpłaca im społeczeństwo za ich hojne dary, nie będą używali odtąd pieniędzy na swoje ulubione kaprysy lub konie wyścigowe, zamiast na cele wyższe?

Niestety, złe przykłady psują dobre obyczaje. Słowa panny Sendder odbiły się echem w sercu przełożonej zakładu Hull-House. Gdy niedawno John Rockefeller chcąc pokazać, iż tym razem przebacza jeszcze społeczeństwu jego niewdzięczność, zaofiarował wspomnianemu zakładowi milionową sumę, pani przełożona miała odwagę odmówić jej przyjęcia. Jej zakład—pisała nietaktowna dama — ma na celu wychowanie ludzi, którzyby nieustraszenie stawiali czoło wyzyskiwaczom. Opinia ogółu przyklasnęła odpowiedzi szlachetnej kobiety.

A. P. Czechow.

KAMELEON.

NOWELA.

Przez plac targowy idzie rewirowy nadzorca policyjny, Oczumiełow, w nowym płaszczu i z zawiniątkiem pod pachą... Za nim kroczy rudy stójkowy z przetakiem, napełnionym skonfiskowanym agrestem. Dokoła cisza... Na placu niema żywego ducha.. Otwarte drzwi sklepów i szynkowni spoglądają na świat Boży smętnie, jak zgłodniałe paszcze; dokoła nich nie ma nawet żebraków.

— To ty będziesz ludzi kąsać? — słyszy nagle okrzyk rewirowy. — Hej? dzieci! nie puszczajcie go tam! Teraz nie wolno nikogo kąsać! Łapaj, trzymaj!...

Słychać skomlenie psa. Oczumiełow spogląda w tę stronę i widzi, że ze składu drzewa kupca Piczugina wybiega na trzech nogach pies, trwożliwie oglądający się po za siebie. Za psem pędzi człowiek w perkalowej wykrochmalonej koszuli i w rozpiętej kamizelce. Biegnąc za psem, człowiek ów przechylił się całym korpusem naprzód, przewrócił się na ziemię, lecz schwycił psa za tylne nogi. Rozlega się po raz wtóry skomlenie psa i okrzyk: „Nie puszczaj!“ Ze sklepów ukazują się zaspane twarze, a po chwili przed składem drzewa, ni ztąd ni zowąd, tworzy się zbiegowisko.

— Nieporządek, panie naczelniku! — odzywa się stójkowy.

Oczumiełow zwraca się na lewo i udaje się na miejsce zbiegowiska. Pod wrotami składu drzewa spostrzega owego człowieka w rozpiętej kamizelce, z podniesioną do góry prawą ręką, pokazującego tłumowi ciekawych zakrwawiony palec. Na opiłem obliczu jego zdaje się być wypisane: „No, już ja cię obedrę, szelmo!“ Zresztą i sam palec zakrwawiony wygląda jakby trofeum zwycięstwa. W owym człowieku rozpoznaje Oczumiełow złotnika Chrinkina W środku zbiegowiska, rozstawiwszy przednie. nogi i drżąc na całem ciele, siedział sprawca całej awantury — biały, zwinny szczeniak, o wydłużonym pyszczku, z żółtą łatą na grzbiecie. W wilgotnych jego oczach malowały się przerażenie i obawa

— Co tutaj zaszło? — zapytał Oczumiełow, przeciskając się przez tłum. — Z jakiego powodu tu się gromadzicie? Co znaczy ten twój palec?... Kto tu krzyczał?

— Idę sobie, panie naczelniku, nic nikomu nie mówiący — rozpoczyna opowieść Chrinkin, kaszląc w złożoną pięść — względem drzewa do Mitrja Mitrycza, a tu naraz, ni stąd, ni zowąd ten przeklęty pies łap mię za palce... Z przeproszeniem pana naczelnika, ja jestem człek pracujący... robota moja delikatna... Niech mi zapłacą odszkodowanie, bo ja tym palcem z pewnością z jaki tydzień nie będę mógł ruszyć... W żadnem prawie nie stoi pisane, żeby człowiek miał cierpieć darmo przez takie podłe zwierzę... Jeśli, na to mówiący, każdemu psu wolno będzie człeka kąsać, to lepiej nie żyć na świecie...

— Hm... Dobrze... — mówi poważnie Oczumiełow, kaszląc i ściągając groźnie brwi. — Dobrze.. Czyj to pies? Ja tego nie puszczę bezkarnie. Nauczę ja was nie trzymać psów na uwięzi! Czas już zwrócić uwagę na takich panów, którzy nie chcą przestrzegać przepisów policyjnych! Jak zapłaci grzywnę, to będzie wiedział, że psy i inne szkodliwe zwierzęta należy trzymać na łańcuchu! Już ja mu pokażę!... Jełdyrin! — zwraca się rewirowy do stójkowego — dowiedz się, czyj pies i spisz protokół! A psa trzeba uprzątnąć! Natychmiast! Musi być wściekły... Czyj to pies, pytam się?...

— Mnie się widzi, że to pies jenerała Żigałowa! — odzywa się jakiś głos z tłumu.

— Jenerała Żigałowa? Hm... Jełdyrin, zdejmno ze mnie płaszcz... Strach, jak mi gorąco! Widać zbiera się na deszcz... Ale jednego tylko nie rozumiem: jakże ciebie mógł ukąsić ten piesek? — zwraca się rewirowy z zapytaniem do Chrinkina. — Gdzieżby takie szczenię dostało do twego palucha? Psinka mała, a z ciebie taki drab! Pewnieś sobie palec rozdrapał o gwóźdź, a potem przyszła ci do łba myśl, żeby spędzić na psa i wyłgać odszkodowanie. Znam ja was, jaki z was naród dyabelski!

— On, panie naczelniku, przyłożył psu do pyska cygaro, dla śmiechu, a pies go cap za rękę.. Ot, zwyczajnie głupi chłop i kwita!

— Łżesz, kuternogo! Nie widziałeś nic, więc nie gadaj. Pan naczelnik jest rozsądna osoba i rozpozna, gdy kto łże, a gdy kto mówi szczerą prawdę, jakby przed Bogiem... A jeśli ja łgę, to niech sędzia mirowy rozsądzi... On ma napisane w prawie, że teraz wszyscy równi.. Ja sam, jeśli o to chodzi, mam brata żandarma!

— Milczeć! Nie rezonować!...

— Ej nie, to nie jeneralski pies... — mówi po głębokiej rozwadze stójkowy. — Jenerał takich nie trzyma.. On ma psy gończe...

— Wiesz na pewno?

— Z wszelką pewnością, panie naczelniku.

— Prawda. Wiem dobrze, że jenerał trzyma drogie psy, rasowe; ten zaś, dyabli wiedzą, jakiego pochodzenia! Ani szerści gładkiej nie ma, ani wyglądu żadnego... niepokaźne psisko! I po co takiego psa trzymać? Chyba ten, co go trzyma, ma niedobrze w głowie? Gdyby się taki pies pokazał w Petersburgu lub Moskwie, to wiecie, coby się stało?... Tam nikt by nie zaglądał do ustaw, a po prostu usunięto by go bez żadnego gadania! Ty, Chrinkin, jesteś poszkodowany, więc nie zaniedbuj swej sprawy.. Trzeba raz nauczyć porządku właścicieli psów!...

— Ha! może on i jeneralski! — rozmyśla znowu głośno stójkowy. — Na pysku nie ma napisanego.. Onegdaj widziałem takiego psa na jeneralskiem podwórzu.

— Ma się widzieć, że jeneralski! — odzywa się ktoś z tłumu.

— Hm... Jełdyrin, włóżno mi płaszcz... Jakoś wiatr pociąga... Dreszcze mię przechodzą.. Odprowadzisz psa do jenerała i dowiesz się, czy to jeneralski... Powiesz, że ja go znalazłem zbłąkanego i przestrzeżesz służbę, żeby psa samego nie puszczała na ulicę.. Pies może być drogi, a jak każdy dureń zacznie mu przykładać cygaro do nosa, to o nieszczęście nie trudno — pies może się rozchorować... Pies jest delikatnem stworzeniem... A ty, cymbale, opuść rękę na dół! Nie masz czego pokazywać swego głupiego palca!... Sam sobie jesteś winien!...

— Kucharz od jenerała idzie, trzeba go zapytać... Hej! Prochor! Pójdźno tu, najmilszy! Przypatrz się temu psu... Czy on wasz?

— Takżeś sobie wymyślił! U nas nigdy takich psów nie bywało!

— W samej rzeczy, nie ma nawet o co pytać — mówi Oczumiełow. Chrinkin winien, że psa zaczepiał, ale pies widocznie nie ma właściciela. Nie ma się co zastanawiać... Powiedziałem, że pies włóczęga — więc musi tak być... uprzątnąć go i basta!...

— To nie nasz pies — ciągnie dalej kucharz. — Pies ten należy do brata jenerała, który przyjechał onegdaj. Nasz jenerał nie lubi zwyczajnych psów, ale brat jeneralski lubi takie psy...

— Tak? Więc brat jego ekscelencyi przyjechał? Włodzimierz Iwanowicz? — pyta Oczumiełow, a na twarzy jego pojawia się uśmiech błogiego zadowolenia.

— A mój Boże! Nic nie wiedziałem! Więc przyjechał w gościnę do brata?

— A tak...

— No, no, no... Stęsknił się do brata... Że też nic nie wiedziałem... Więc to jego psina? Bardzo się cieszę... Weź że go, weź.. Pies bardzo ładny.. Taki zwinny... Chapnął tego osła za palec! Cha, cha, cha! Nie bój się pieseczku! Warczysz? Wrr.. wrr... Gniewasz się? Aj, ty psinko miła!...

Kucharz przywołuje psa i odchodzi z nim z przed składu drzewa. Tłum śmieje się z Chrinkina.

— No, jeszcze ja cię dostanę! — grozi Chrinkinowi rewirowy, a otuliwszy się w nowy płaszcz, udaje się w dalszy obchód swego rewiru.

Z. D.

Historya literatury powszechnej.

(*Julian Adolf Święcicki:* **Historya literatury powszechnej** Tom I. i II. Warszawa 1901. Nakład „Biblioteki dzieł wyborowych".)

Rzadkie są u nas dzieła wielkiej, wytrwałej pracy.

Nie umiemy zdobywać się na ciągłość energii. Nasza „lotność" umysłowa nie pozwala nam wolnym krokiem wchodzić na szczyty. Albo się tam zrywamy jednym ruchem skrzydeł, albo zostajemy na nizinach. Ztąd mało mamy w dorobku swoim dzieł wielkich. poczętych nie w natchnieniu, ale dokonanych przez pracę.

Jednak zdarzają się one. Ile razy spotkam się z takiem dziełem, witam je radośnie i oddaję mu hołd należny.

Pan Święcicki zamierzył wiele. Podjął się on na żądanie „Biblioteki dzieł wyborowych" opracować Literaturę powszechną w monografiach, to znaczy kolejno w całokształtcie swoim przedstawić wszystkie literatury świata, zarówno nowe europejskie, tak klasyczne i jak literatury najstarszych ognisk cywilizacyi ludzkiej w Azyi i Afryce, w Chinach i w Egipcie, w Japonii i w Asyryi, w Persyi, Turcyi i t. d.

Jest to ogrom materyału, w którym, jak w zwierciadle, ukaże się wielowiekowa kultura ludzkości, wszystko co duch ludzki w rozmaitych strefach, w rozmaitych krajach i w warunkach rozmaitych ku chwale swojej tworzył.

Zaiste, praca to olbrzymia. A przecież p. Święcicki do niej przystąpił i oto już dwa duże tomy „Literatury" jego na świat Boży wyszły.

Tom I y obejmuje literatury: babilońsko-asyryjską i egipską, tom drugi — egzotyczne piśmiennictwa wschodu — literatury: chińską i japońską.

Rzeczy to dla nas obce prawie zupełnie. Po za literaturą powszechną, opracowaną synchronistycznie i zbiorowo, a wydaną niegdyś przez Lewentala, po za szkolnym raczej podręcznikiem Szujskiego, poświęconym literaturom świata przedchrześcijańskiego, o żadnem z tych piśmiennictw nie pisano u nas szerzej, gruntownie i wyczerpująco. Wyjątek stanowią nieliczne rozprawy I. Radlińskiego. Do źródeł zaś obcych, do badań uczonych zachodnich, asyro- i egiptologów, do licznych prac angielskich, niemieckich i francuskich o Chinach i Japonii — mało kto sięgał.

Dlatego też czytelnik polski książkę p. Święcickiego musi wziąć do ręki z ciekawością nie o wiele mniejszą od tej, z jaką czytał „Faraona" Prusa, z jaką otwierał karty romansów Ebers'a, lub choćby przerzucał „Salambo". Flaubert'a.

Tam wstawały przed nim światy zamierzchłe i tu one przed nim wstaną.

Tam zdobiła je fantazya twórcza, tu — pada na nie światło nauki.

Otrząsnęła ona pył wieków z zabytków prastarych, z wykopalisk i głazów kamiennych, z trudem i mozołem wydobyła głos żywy, odczytała znaki nieznane sobie, odgadła hieroglify i pismo klinowe, wskrzesiła języki umarłe. I wstał przed nią świat, jak świat dziwów — ogromny i potężny.

Przemówiły do niej bogi stare: Anu, Bel i Ea; Ozyris, Horus, Izys... Dźwignęły się przed nią z gruzów Babylon i Niniwa, Memfis, Sais, Busiris...

Przesunęły się przed jej tronem postaci mocarzy ówczesnych: Nabukadnezary, Ramzesy, Amenefisy i Haremheby..

I ujrzeliśmy świat starożytny, jeśli nie zupełnie takim, jakim on był w istocie — to bliskim tego. Ujrzeliśmy obraz jego i odkryliśmy w obrazie tym duszę ludzką, która ma w sobie pierwiastki wieczne i niezmienne.

Jak się to wszystko stało, jak powolną drogą kroczyła nauka dzisiejsza do światła i zdzierała zasłonę po zasłonie z tajemnic dalekiego Wschodu, jak uczeni z narażeniem życia własnego badali na miejscu ruiny asyryjsko-babilońskie, aby następnie zdać światu sprawę ze swoich odkryć, jak pod gradem kul w Egipcie odczytywano papyrusy i wydobywano skarby z wnętrza piramid — o tem opowiada nam p. Święcicki barwnie, z zapałem i na podstawie najlepszych informacyi.

Tom I. jego literatury nie jest też właściwie podręcznikiem do dziejów piśmiennictw starożytnych. Jest to raczej obraz świata starożytnego, obraz świata starożytnego, obraz kultury aseryjsko-babilońskiej i egipskiej, rysowany, na tle pomników piśmienniczych epok odległych i ludów umarłych.

Nie ma tam badań analitycznych, nie ma suchych roztrząsań akademickich, rozpraw teoretycznych i długiego zatrzymywania się nad szczegółami jest za to pełny, żywem słowem tętniący wykład syntetyczny, jest opowieść swobodna o początkach cywilizacyi ludzkiej, wolna od balastu jakiegokolwiek, a zajmująca i ciekawa.

Jak powieść, czyta się tę książkę bez znużenia, jakie wywołuje studyowanie specyalnych dzieł naukowych, a z pożytkiem niemniejszym.

(Dokończenie nastąpi).

Zdzisław Dębicki.

O ZMROKU.

Z ogrodów płyną wonie róż,
Powoli słońce krąg swój toczy — —
Na piersi mojej głowę złóż,
Całować daj mi swoje oczy;

Tak pachnie jedwab twych warkoczy — —
Na piersi mojej głowę złóż:
Oto już Noc zdaleka kroczy
W dogasających blaskach zórz;

W krwi koralowej niebo broczy,
Za siniejące grzbiety wzgórz
Powoli słońce krąg swój toczy,
Z ogrodów płyną wonie róż.

Wieczór, upojeń niosąc kruż,
Po sennych stąpa pól roztoczy,
Na piersi mojej głowę złóż,
Całować daj mi swoje oczy — —

Z ogrodów płyną wonie róż,
Tak pachnie jedwab twych warkoczy...

J. Augustynowicz.

O zachodzie.

Wolnym krokiem idę z bazaru za miasto. W ręce trzymam kupiony przed chwilą melon kieszeń wypycha mi torba z winogronami. Mostar jest jeszcze pełen ruchu i ożywienia, z tem większą przyjemnością znajdę się za jego murami...

Na chwilę przystaję, by rzucić wzrokiem na płynącą w kamiennem łożysku Narrentę. Ta Narrenta jest doprawdy śliczna i dziwić się trzeba, jak mało oceniają jej urok tutejsze „niedźwiedzie". Ogromnie lubię patrzeć na tę górską rzekę: w swojej dzikości ma coś podobnego do kobiety, która zarazem pragnie i odpycha.

Jestem na szosie. Później skręcam na drogę, umajoną z obu stron krzewami, drzewami figowemi, plantacyami tytoniu i całą masą winogradu. Z jakimś sentymentalizmem myślę, że taka flora, jaką tu postrzegam, może naprawdę rozmarzyć i mnie, synowi północy, zawrócić trochę

w głowie. Oddycham głębiej — w powietrzu jest jednak parno.

A wszędzie, gdzie okiem rzucę — majestatyczne, groźne, przepiękne, olbrzymie góry skaliste, skamieniali rycerze śpiący, „straż cicha Hercegowiny“. Ciągną się ich łańcuchy całe, pomarszczone, poszczerbione — te góry ożywia jakaś wielka dusza.

Siadam pod drzewem figowem. Nad głową mam bezdenny błękit nieba, na niem gorzeje ogromna kula słońca. Chyli się już zwolna ku zachodowi, po pewnym czasie zniknie zupełnie za horyzontem.

Z rozkoszą napawam się widokiem. Tam gdzieś daleko błyszczą kamienne łomy Mostaru, których białość w blasku słońca wydaje się jeszcze więcej oślepiającą. Tajemniczy rozgwar Narrenty ucichł już zupełnie, wokół wszędzie rozgościła się leniwa cisza. Oparłem głowę o drzewo i myślę... Jak tu inaczej, inaczej!

Potężnym, wzruszającym w swej nieopisanej krasie jest ten kraj. Przepych barw, światła, na każdym kroku najpiękniejsze krajobrazy... Jakiś wielki majestat bije od owych gór, pełnych zadumy groźnej i posępnej, zasłuchanych jakby w odgłosy wspomnień dziwnych. I jedno uderza w nich nadewszystko, bije od nich zewsząd ta melancholia, ta bezdenna melancholia, co nie zabijając fizycznie, pożera serca i dusze. Tak, pełnymi smutku niezmiernego są te olbrzymy, czarujące kształtami, przykuwające wzrok do siebie. A smutek to zda się nieukojony, wieczysty. I choć tam w dolinie życie wre i kipi, choć u podnóża ich wiją się przekorne rośliny — one jednak nie zwracają na to uwagi i sterczą jakby zdrętwiałe w swym bólu. Ten spokój, ta martwota przygnębiają i przejmują dreszczem. Są jednak i źródłem dziwnego upojenia: dusza korzy się przed tym smutkiem, wielbi posępność, grozę. Człowiek upaja się tą grozą jak asceta cierpieniem. I patrzy się, patrzy bez wytchnienia, by nasycić oczy majestatem, wchłonąć dzikie przygnębienie gór... Słońce ozłaca je i pieści — one zdają się nieczułe na jego pieszczoty.

Z westchnieniem rozmyślam nad tem. Z doliny przylatuje wiatr ciepły i owiewa mi skronie leniwe. Znać, że go nie zrodziły góry, że „nie przeleciał po nich sokołem“. W przestworzu jasność jest niezmierna.

Lecz nagle coś zaszeleściało w pobliżu. Oho, nie jestem ja sam! Z pod sąsiedniego krzaka wysuwają się nogi w szerokich, tureckich szarawarach, a następnie ukazuje się głowa w fezie z twarzą zupełnie starą. Przez chwilę dwoje czarnych oczu, trochę jakby wyblakłych, spogląda na mnie dość groźnie, następnie groza zmienia się w zwyczajną ciekawość. Przyczyniają się do tego pewnie mój wygląd, no i mina wcale nie zbójecka!

Heroicznie gotuję się do pogawędki, przepowiadając sobie w myśli wszystkie serbskie słowa, kiedykolwiek przez mózgownicę moją pochłonięte. Wiem, jak „tutejsi ludzie“ są skorzy do rozmowy... Trzeba spełnić kielich.

— Szwabo? — pyta mój sąsiad.

— Nie — trzęsę głową — „Poljak“!

— Co to jest Poljak?

— Taki Słowanin...

— Z daleka?

— Z dosyć daleka.

— Krewny Bośniaka?

— Krewny.

— Jegomość w fezie wykrzywia usta pogardliwie, potem spluwa:

— Po co tu przyjechał?

— Tak sobie.

— Co to jest „tak sobie“?

— Tak sobie jest tak sobie — odpowiadam z niezachwianą pewnością.

Sięgam po melon, kraję go nożem i wyrzucam pulchny ośrodek. Po chwili milczenia słyszę głos:

— Szwabo je melon?

— Jem.

— Ja też lubię melony.

— Proszę — mówię i podaję spory kawałek.

Jegomość je, później wskazuje palcem na moją torebkę.

— Winogrona?

— Winogrona.

— Ja też lubię winogrona...

Podaję torebkę. Ciekawy „facet“!

— Tytuń jest? — słyszę po chwili pytanie.

— Jest.

— Ja palę tytuń...

— Domyślam się. Oto jest.

Jegomość skręca papierosa, zapala go i kładzie się na wznak.

Podziwiam znowu cudny krajobraz. Słońce, coraz większe, chyli się coraz niżej. Po bokach zaczynają opromieniać je złote blaski. Wszystko zdaje się przybierać żałosny wyraz pożegnania...

Teraz ja uznaję za stosowne zadać memu sąsiadowi parę pytań:

— Hercegowińczyk?

— Nie!

— Turek?

— Tak! — odpowiada z chełpliwością i jakąś butną pychą.

— Fiu! — myślę sobie. — Więc dla tego tak wydął wargi, gdy się dowiedział, żem „krewny Bośniaka“. Musi być nygus pierwszej wody — wnioskuję w duchu, obejrzawszy dokładnie starego.

On leży spokojnie, kółka dymu puszcza i od czasu do czasu spluwa głośno wprost... w powietrze.

— Wszystko jest teraz nędzne — odzywa się nagle. — Szwabo mówi, że jest Poljakiem, krewnym Bośniaka. I po co szwabo tu przyjechał? Słońce świeci, zieleń rośnie, a góry, kamienie nasze niebotyczne kąpią się w blasku... A czy one kąpią się tak, jak kąpały się dawniej? Czy zieleń tak rośnie? Czy słońce tak świeci? Nie tak. Dawniej i „szwabo“ tu nie zaglądał i Bośniak i Hercegowinczyk byli naszymi psami. Lecz może młody szwabo lubi gadać, pójdzie i będzie rozpowiadał, co ja mówiłem? Miasto blizko... Niech idzie!

Uśmiecha się lekceważąco. Mówi to z ironią, jakby litując się bezdennie nade mną. Żuje niedopałek papierosa i pokazuje przytem resztę żółtych zębów. Mówi po serbsku: tu każdy Turek po serbsku mówić umie.

— I słońce inaczej zachodzi — ciągnie leniwie. — Czy szwabo może mieć o tem pojęcie? Tak dawniej nigdy nie zachodziło. Wszystko nędzne!

Wzruszam ramionami. Słońce zachodzi wspaniale, prześlicznie mieniąc góry i dolinę. Domy Mostaru nabiegają koloru złotego i coraz więcej stają się złociste. Całe powietrze jest jakby nasycone złotem, pomieszanem z lekką czerwienią. Krajobraz uderza pięknością.

— Nam czas, mówią, wynosić się dalej... Gdzie wynosić się ze swojej ziemi? Czy ta ziemia nie jest nasza, turecka? Czy szwabo wie co o tem?

— Wiem.

— I cóż wie?

— To jest i c h ziemia!

— Austryaków? — pyta i podnosi się z trawy.

— Bośniaków i Hercegowińczyków! — opowiadam z mocą.

Stary Turek mruży oczy. Potem patrzy na mnie ze zdziwieniem. To mu nie przyszło, zdaje się, nigdy do głowy. Lecz kończy szyderskim uśmiechem.

Wstaje. Oczy utkwił w płonącą wielką kulę, która opuszcza się szybko coraz niżej i za chwilę może już zniknie zupełnie. Na jego twarzy, tak jak na wszyskiem teraz, legł odblask złoto-czerwonawego światła, zabarwiając ją charakterystycznie.

Stoi. W oczach poczynają mu igrać błyski, mięśnie na policzkach drgają:

— Kiedyś .. było lepiej... Jest ziemia, ogromna, wielka ziemia, tam dalej... Tam jest też wielkie słońce — padyszach. O tem, co zachodzi tutaj, mówią, że jutro wstanie znów piękne, młode i świeże — i tak codzień.. Ale my wiemy, że to kłamstwo podłe. To nasze już zaszło. I może drugie słońce, padyszach, sprawi, że to będzie znów naszem. Co ty jednak, młody szwabo, wiesz? Wy wszyscy jesteście...

I nie kończy, jakby w obawie, że naprawdę powie za dużo.

Lecz mnie porywa urok tego zachodu. Wstaję i patrzę z rozkoszą na czarującą i niezrównaną w swym przepychu grę barw, grę światła. Jest to jedna olbrzymia symfonia zawrotnego wdzięku i krasy. Jak gdyby na ostatnie pożegnanie słońce uśmiecha się całą pełnią i zda się woła: bywaj! W duszy mej widzę dziwny obraz: kochanek, opuszczający kochankę, śle jej dłonią pocałunek i pocałunek ten biegnie przez przestrzeń, by upaść na jej koralowe wargi i wywołać w niej burzę. On, choć odchodzi, ma szczęścia na twarzy, bo jutro ją ujrzy znowu. To słońce tak samo żegna ziemię...

— Tu jest pięknie! — mówię z zapałem.

— Było .. — mruczy starzec.

F. Urbanowicz.

Biologia.

(Dokończenie).

Starałem się w powyższy sposób podać kwintesencyę współczesnych poglądów biologicznych, o ile poglądy te obejmują wszystkie istoty żyjące. Widzieliśmy, że są to poglądy prawie wyłącznie morfologiczne[1]) (t. j. dotyczące budowy organizmów) i że opierają się przeważnie na faktach zoologicznych. Wskażę teraz w kilku słowach drogę, którą nauka doszła do podanych rezultatów.

Brzask XIX stulecia zastał w morfologii zwierząt i roślin zupełny brak pojęć naukowych. zupełny brak głębiej sięgających faktów. Organizmów powierzchownie

[1]) Fizyologia (fizyka i chemia organizmów) doszła do rezultatów wielkiej niewątpliwie doniosłości i mających olbrzymie zastosowanie w rolnictwie i medycynie. Ale nauka ta nie objęła tak dużych obszarów i znaczenie jej pod względem teoretycznym, jak sądzę, nie dorównywa stanowisku morfologii. Fizyologia *porównawcza* dotychczas nie istnieje, fizyologia zwierząt jest właściwie tylko fizyologią kilku ssawców i człowieka. Dla tego, mając bardzo mało miejsca, pominąłem w tym króciutkim zarysie tę interesującą gałąź wiedzy biologicznej.

opisanych znano już masę; znane rośliny i zwierzęta ugrupowane były w dwu systemach Linneusza, zupełnie sztucznych, nic nie wyjaśniających, ułatwiających jednak zoryentowanie się w zebranym materyale naukowym. Jak nie badano głębiej zwierząt i roślin, poprzestając na opisie cech zewnętrznych, tak nie szukano wyjaśnienia znanych faktów biologicznych.

zwierzęcych były z gruntu fałszywe i nienaukowe, bo aprioristyczne. Twierdził on, że między gatunkami niema żadnego związku genetycznego, że każdy został stworzony osobno i niezależnie od innch. W każdym z czterech typów, na które podzielił znany mu świat zwierzęcy, upatrywał plan Stwórcy. Głosił też, (oczywiście pod wpływem podań biblijnych), że na

niu lub nieużywaniu organów (używanie organu sprzyja jego rozwojowi, nieużywanie powoduje jego zanik), St. Hilaire zaś we wpływie przyczyn zewnętrznych na organizm. Widzimy, żo obaj filozofowie natury mieli dużo słuszności, pomimo tego jednak poglądy ich niezwróciły na siebie uwagi, światopogląd Cuviera, prawdopodobnie głównie wskutek zgodnosci z do-



W. Bourguereau. GNIAZDO OS.

Pierwsze lata XIX stulecia przyniosły światu wielkiego zoologa, w osobie Jerzego Cuviera. Zbadał on gruntownie, jak na owe czasy, organizacyą wielu zwierząt z rozmaitych grup i na podstawie zebranego w ten sposób materyału, ułożył system zwierzęcy, który stał się podwaliną istniejącego obecnie systemu. Ale poglądy Cuviera na pochodzenie rozmaitych form

powierzchni ziemi zachodziły od czasu do czasu powszeche kataklizmy, niweczące wszystkie istoty żyjące, po czem następował nowy akt stworzenia.

Jednocześnie z Cuvierem żyli dwaj zoologowie, Lamarck i Geoffroy St. Hilaire, którzy głosili, iż gatunki są zmienne i jedne z drugiemi spokrewnione. Lamarck przyczynę zmienności upatrywał w używa-

gmatami religijnymi, zapanował na kilkadziesiąt lat w nauce.

Poglądy Cuviera zachwiane zostały przez geologa Lyella, który głosił, że teorya kataklizmów nie jest uzasadnioną, gdyż wszelkie zmiany w skorupie ziemskiej dają się wytłomaczyć i temi zjawiskami, które na niej w naszych czasach zachodzą, i że wskutek tego świat żyjący na ziemi roz-

wijał się stopniowo, nie zaś zapomocą osobnych aktów stworzenia. Zmienność gatunków i stopniowe doskonalenie się organizmów (ewolucya) zostały dowiedzione przez Karola Darwina, który w 1859 ogłosił streszczoną wyżej teoryę doboru naturalnego.

Teorja ta niewątpliwie najdonioślejsza ze wszystkich biologicznych, poparta została przez rozwój histologii (anatomii mikroskopowej) i ombyologii. Komórka została poznana już w 4-ym dziesiątku stulecia przez Schleidena i Schwana, ale znaczenie i sposób rozmnażania się tej jednostki organicznej oraz budowa pierwotniaków i innych organizmów jednokomórkowych poznane zostały przez późniejszych, współczesnych Darwinowi badaczy Za twórcę embryologii należy uważać K. E. Baera, który w 4-tym dziesiątku stulecia ogłosił swe znakomite badania nad rozwojem kręgowców; jakkolwiek zwolennik światopoglądu Cuviera, zwrócił jednak uwagę na podbieństwo pomiędy zarodkami zwierząt o niższej i wyższej organizacyi. Badania embylogiczne do całego państwa zwierzęcego zastosowali późniejsi uczeni, głównie pod wpływem teoryi Darwina. Największe zasługi na tem polu położyli niewątpliwie dwaj zoologowie: Kowalewski, który pierwszy odkrył gastrulę i dostarczył wielu innych faktów wielkiej doniosłości, oraz Haeckel, który pierwszy jasno sformułował „prawo" równoległości rozwoju osobnika i gatunku.

W powstawienie najniższych organizmów z gnijących substancyj — a zatem w samorództwo — wierzono aż do epokowych prac bakteryologicznych Pasteur'a, który dowiódł, że gnicie, jak i fermentacja, nie może obejść się bez odpowiednich bakteryj, których obecność daje się wykazać prawie wszędzie.

Maryan Zbrowski.

PRZEMIANA.

Miłości, gdzież się źródło twe podziało,
Co wiecznie miało bić? Gdzie dzwony twoje,
Co wiecznie miały rozbrzmiewać? Serc dwoje
Niegdyś, jak górskie rzeki dwie, kipiało.

Wszystkich natury potęg było mało,
Aby uciszyć ich głód... Gdzież te zdroje?
Wskrześnij, promienna! Ołtarz ci ustroję
W przędzę, na którą duszę wytkam całą.

Naprożno... Dyabła wypełnia się słowo,
Rzucone światu, że mydlaną bańką
Jest to, co wiecznem dziecko prochu mieni.

Kochanko! byłaś duszy mej połową —
A dziś? Czy jestem?... Czas jest śmierci niańką...
I ty wśród nikłych majaczysz mi cieni...

Pogadanka naukowa.

Żyjące metale.

Zdaje się, że wiek obecny oduczy ludzkość od jednej rzeczy: od zdziwienia. Jeden za drugim przychodzą wynalazki zdumiewające, niesłychane, wprost nie do uwierzenia

Przed kilku laty odkrycie promieni Roentgena, tak zwanych promieni X, zadziwiło świat cały.

Roztworzyły się przed nami podwoje do całego szeregu nadzwyczajnych zjawisk, których objawy wkraczają niemal w granice cudowności.

Pomimo jednak całą pozorność fantastyczność tych objawów, nauka ustaliła sprawdzone prawa, będące uznane wykładnikami tych zjawisk.

Zbadano je dzisiaj niemal zupełnie, wiemy już jak powstają, jak się przejawiają jakie powodują skutki. Jedna tylko przyczyna zewnętrzna elektryczność, jako bodziec wydajny, jest konieczną do ich przejawialności.

Ale obecnie stajemy wobec szeregu jeszcze ciekawszych odkryć.

Tem zaś specyalnie zajmującemi są te nowe zdobycze wiedzy, że na czele grona uczonych francuskich, którzy nad niemi pracują znajduje się dwoje badaczy pan i pani Curie, z których pani Curie, z domu Skłodowska, jest Polką przynoszącą swą głęboką wiedzą zaszczyt nauce polskiej i wszechświatowej. I mąż i żona zajmują się naukami fizycznemi, przyczem oboje są profesorami fizyki doświadczalnej w najwyższych zakładach naukowych francuskich.

Pani Skłodowskiej-Curie zawdzięczamy odkrycie kilku nowych pierwiastków, z których jeden na cześć ojczyzny uczonej kobiety nazwano *polonium*.

Oprócz tego pierwiastku państwo Curie, wespół z innymi badaczami, zapoznali świat uczony z własnościami kilku nowych metali, noszących nazwy: *radium* i *aktinium*.

Nowe te ciała odznaczają się właściwościami tak zdumiewającemi, że wszyscy fizycy i chemicy nie wiedzą doprawdy do jakiej kategoryi zaliczyć te nowe pierwiastki.

Zarówno polonium, jak radium i aktinium posiadają swoistą, własną energię, której nie zapożyczają od żadnego zewnętrznego źródła, coś jakby nowa odmiana życia, nader wprawdzie ograniczona w swych objawach, a którą nazwano radioczynnością (*radio-activité*).

Już w r 1896-ym Henryk Becquerel, badając ciała fosforyczne, odkrył w solach uranium własności promieniowania w sposób podobny do promieni X.

Nową tę własność soli uranium nazwano promieniami Becquerela. Owóż ów prąd nieokreślony energii, który rozprasza się w około uranium i jego połączeń, nowoodkryte pierwiastki posiadają w sto tysięcy razy silniejszym i bogatszym stopniu.

Najnowsze nawet badania dowiodły, że owe nadzwyczajne własności promieniowania, uradium zawdzięcza właściwie obecności małej domieszki aktynium.

Przedewszystkiem nowe promieniujące metale mają własność samoświecenia, następnie wytwarzają elektryczność, oddziaływają świetlnie na płyty fotograficzne i przechodzą po przez ciała nieprzeźroczyste.

Działanie fizyologiczne tych promieni na żywe istoty jest nader znaczne, nakoniec zaś przelewają indukcyjnie swe własności ciałom obcym, z któremi są w zetknięciu.

W laboratoryum pył z metali radioczynnych rozproszony w minimalnej ilości, zamienia wszystkie przedmioty na radioczynne, t. j. wpaja im własność tych metali.

Powietrze nawet staje się wówczas dobrym przewodnikiem elektryczności i żaden ścisły pomiar elektryczny nie może być powziętym, gdyż wszystkie przyrządy przestają być odosobnione (izolowane). Nie należy również wchodzić do składu materyałów fotograficznych, gdzie są świeże, nieużywane klisze, mając w kieszeni rurkę z chlorkiem radium naprzykład. W jednej bowiem chwili wszystkie klisze zostaną zaćmione, jak gdyby były wystawione na światło

Świetlność nowych metali niema nic wspólnego z tak zwanem zjawiskiem fosforescencyi, będącej świeceniem w ciemności ciała, które poprzednio naładowanem zostało tem światłem.

Objawia się jednak w sposób analogiczny, ale zupełnie stale i o wiele silniej, tak, że rurki napełnione substancyą radioczynną świecą jak najświetniejsze rurki Gejslerowskie.

Pierwsze próbki tych dziwnych metali wydobyto, jako związki z chlorem, z pozostałości uranium, pochodzącego z kopalni cesarskich w Joachimsthal w Czechach.

Aby powziąć wyobrażenie, jak trudnem i kosztownem jest wydobywanie tych metali wystarcza powiedzieć, że utrzymuje się zaledwie jeden decygram chlorku radium z tonny resztek uranium.

Nic więc dziwnego, że dziesięcio-centymetrowa rurka tego chemicznego związku kosztuje mniej więcej 15000 franków.

Wiele więc czasu upłynie, zanim światło radium zastosowane będzie w technice teatralnej i w oświetleniu wielkich sal, jak to ze zwyczajnym amerykańskim humbugiem opisano niedawno w prasie zaoceanowej.

Niezmiernie subtelne i trudne manipulacye konieczne dla wydobycia nowych metali, uskuteczniono w Paryżu, w fabryce Javel.

Jesteśmy wobec szeregu nadzwyczajnych, nieoczekiwanych zjawisk i, jak dotychczas, zupełnie nieobjaśnionych.

Mamy oto trzy nowe metale, których najgrobniejsze cząstki stanowią niewyczerpane źródło swoistej energii, ciągle czynnej, bez jakiejkolwiekbądź pomocy źródłowej z zewnątrz.

Owa czynność, żywotność niemal, objawia się przez promieniowanie, które w niczem nie zmienia składu i treści ciała, z którego wychodzi, i nie wpływa na stratę jednego atomu jego waki.

Jest tam jakaś niepojęta tajemnica, coś niepokojącego, co zwala, przeczy najważniejszym postulatom współczesnej wiedzy, rujnującej najświętsze aksyomaty, nawet słynne Lavoisierowskie: „w naturze nic się nie stwarza i nic nie ginie".

Jest to może pierwsze objawienie się praw niezbadanego i nieznanego stanu przyrody.

Może słynny elektroid p. Rychnowskiego jest także jakimś radioczynnym objawem, którego właściwe źródło energii

wynalazca zazdrośnie krył przed okiem fachowej wiedzy.

Odkrycie tej nowej własności energii czynnej samoistnej, w ciele nieorganicznem uznanem za martwe, może mieć nieobliczone dla nauki następstwa.

Dzięki tym zdumiewającym odkryciom okaże się może niezadługo, że owa tak zwana materya martwa, posiada także jakieś ukryte elementy życiowe, któremi promieniuje w przestrzeń, a te promienie, łącząc się w przeróżnych kombinacych, zmieniając może środowiska energii, oddziaływają nawet na przyrodę ożywioną.

Może z poznaniem bliżej tych nadzwyczajnych zjawisk pewne objawy pesymizmu, do krainy złudzeń i snów dziś zaliczane, staną się rzeczywistościami zrozumianemi i pewnemi.

My zaś szczerze dumni być możemy, że drogę do tych wielkich odkryć utorowała rodaczka nasza, uświetniając imię ojczyzny swej zdobyczami, które może przewrót w całej fizyce i biologi uczynią.

Z. N.

ZAMKNIĘCIE RACHUNKÓW

Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie

z działu życiowego za rok 1900.

ROZCHÓD. Rachunek zysków i strat z działu życiowego za czas od 1 stycznia do 31 grudnia 1900 r. **PRZYCHÓD.**

		K.	h.			K.	h.
I.	Wypłaty płatnych zabezpieczeń i rent	1,831.912	74	I.	Przeniesienie funduszów z roku poprz.	19,653.869	34
II.	Wypłaty za wykupione police . . .	217 130	95	II.	Rezerwa na wypłatę nieuregulowanych szkód z roku poprzedniego .	138.044	85
III.	Dywidenda ubezpieczonym wypłacona	65.181	16	III.	Zebrane premie	2,903.464	36
IV.	Ogólne wydatki zarządu	743.695	87	IV.	Przychód z lokacyi kapitałów . . .	1,038.933	60
V.	Odpisy i inne wydatki	155.025	51	V.	Inne przychody	68.252	29
VI.	Rezerwa na bieżące wypłaty szkód .	182.605	23				
VII	Stan funduszów z końcem roku rachunkowego	20,468.089	44				
VIII.	Zysk	138.923	54				
		23,802.564	44			23,802.564	44

STAN CZYNNY. Rachunek bilansu z działu ubezpieczeń na życie. **STAN BIERNY.**

		K.	h.			K.	h.
1	Zapas kasowy	7.542	23	1	Rezerwy zysków, kapitałów	1,281.794	47
2	Rozporządzalne należytości w instyt. kredyt. i kasach oszczędności . .	277 983	48	2	Fundusz na różnicę kursu	188	21
3	Realności i dobra ziemskie	1,346.620	16	3	Rezerwa i przeniesienie premii . .	19,136.449	88
4	Papiery wartościowe według kursu z dnia $^{31}/_{12}$ 1900	5,487.756	81	4	Rezerwa na nieuregulowane szkody	182.605	23
5	Weksle w portfelu	194.026	—	5	Fundusz na dywidendę dla ubezp. .	49.656	88
6	Pożyczki hipoteczne	7,190.948	45	6	Salda bierne rachunków z towarz. kontras.	28.144	40
7	Pożyczki na własne police	2,937.280	53	7	Różni wierzyciele	815 972	44
8	Pożyczki stowarzyszeniom	519 003	21	8	Różne kaucye	48 525	38
9	Pożyczki ubezpieczonym na zastaw pensyi	2,899.246	57	9	Fundusz emeryt. akwizytorów działu życiowego	12.080	—
10	Salda czynne rachunków z towarz. kontras.	35 328	50	10	Zysk	138.923	54
11	Zaległości w agenturach i filiach . .	466.888	34				
12	Różni dłużnicy	301.735	90				
13	Efekta kaucyjne	29.980	25				
		21,694 340	43			21,694.340	43

Podział zysku:

		K.	h.
	Zysk z roku 1900	138.923	54
	Z tego przeznacza się na:		
1	Dywidendy	63.045	80
2	Uposażenie funduszów rezerwowych	75.877	74
		138.923	54

Kraków, dnia 1 stycznia 1901 r.

DYREKCYA:

Zenon Słonecki. **Ignacy Głażewski.** **Dr. Gustaw Romer.**

KOMISYA RACHUNKOWA:

Antoni hr. Wodzicki. **Tadeusz Cieński.** **Julian Bielański.**
Dr. Konstanty Lipowski.

Naczelnik działu ubezp. na życie:
Edward Szancer
rządowo autor. technik asekuracyjny.

Naczelnik biura rach.:
A. Szyszkiewicz.

(Przedruk nie będzie płacony).

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy B nku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 29—52

Kantor wymiany
c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego
Banku hipotecznego.

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE“

„PRIMUS“

są powszechnie uznane
za najlepsze!

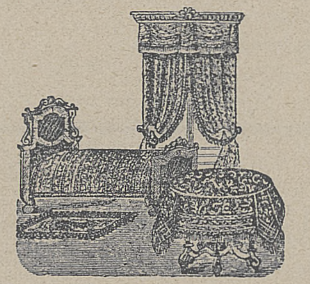
Wszędzie do nabycia.

FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2
36—52

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żadanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)
Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych. 34—44

Główny skład rowerów angielskich aparatów fotograficznych i wszelkich przyborów.

Moim Szanownym P. T. odbiorcom udzielam wszelkie reperacye bicyklów **bezpłatnie**, zaliczam tylko dodany materyał. — Wypożycza się rowery.

Systematyczna szkoła jazdy na rowerze.

Dziękuję za dotychczasowe względy.

Z szacunkiem
Herman Gottlieb
Przemyśl, ul. Franciszkańska (pod wieżą).

KANTOR WYMIANY
BANKU GALICYJSKIEGO
dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 29—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudn em i od 3—4½ popołudniu.

HOTEL POLSKI
w KRAKOWIE
przy ulicy Floryańskiej

poleca Szan. Publiczności pokoje, wzorowo i elegancko z komfortem urządzone.

Ceny niskie i dla każdego przyjeżdżającego bardzo przystępne.

Zarząd postarał się o wszelkie wygody, by każdy gość był zadowolony, za które poręcza się.

Z poważaniem
Zarząd Hotelu Polskiego
w KRAKOWIE.

4—24



Pierwsze składy obuwia karlsbadzkiego

Adolfa Lonkera

ulica Hetmańska l. 16. (Bank zaliczkowy)
LWÓW
ulica Karola Ludwika l. 21. (Hotel Bristol).



Obuwie tylko ręcznej roboty. dla pań, panów i dzieci. — Najnowsze oraz najgustowniejsze fasony i olbrzymie zapasy. Najwykwintniejsze wykończenie i staranna trwała robota. Ceny najniższe, fabryczne, wyciśnięte wraz z marką ochronną na podeszwie każdej pary.

Ferdynand Güttler
Magazyn towarów modnych
Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

39—52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAŁ i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 40—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Nowo przeniesiony magazyn
na plac Maryacki l. 10.
dawniej
Jakubowski & Jarra

obecnie

M. JAKUBOWSKI

poleca
swe wyroby ze srebra chińskiego i przybory kościelne. 11—12

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.